

Sam zajmowałem się naszym dzieckiem. Będę alimenciarzem

Dziennikarz

14.02.2017 12:24



Alimenciarz (Pexels.com)

Mijały lata, a ja wciąż na etacie w domu. Wożenie na zajęcia, do przedszkola, na basen. A w małżeństwie było coraz gorzej

Artykuł otwarty w ramach bezpłatnego limitu prenumeraty cyfrowej

Nasz syn urodził się jedenaście lat temu. Żona była już dyrektorem sprzedaży w międzynarodowym koncernie. Miała dobrą, płatną pracę, ale wymagającą dyspozycyjności. Delegacje, konferencje, spotkania, narady. Ja dopiero zaczynałem w nowym zawodzie, dziennikarza, więc decyzja, że to ja zajmę się dzieckiem, była oczywista. Pisząc jako freelancer, mogłem decydować, kiedy i ile pracuję. Gdy żona pędziła ze spotkania na spotkanie, z samolotu do samolotu, ja stałem się mamą w pełnym wymiarze. Z małym mankamentem. Nie potrafiłem karmić piersią.

Na początku było fajnie. Firma żony zgodziła się, by tata z synem też jeździł na konferencje, ponieważ żona zaraz po porodzie wróciła do pracy w pełnym wymiarze. Syn zaliczył więc Holidaya, Sheratona i Marriotta. Sielanka jednak szybko się skończyła. Podczas konferencji w Juracie synek dostał biegunki. Trafiliśmy do szpitala w Pucku. Wieczorem jeden z pracowników firmy przywiózł mi dla dziecka jedzenie, ubrania i pieluchy. Ja dwa dni spędziłem w tych samych ciuchach, jedząc batoniki. Pielęgniarki, widząc zaradnego ojca, nie spieszyły z pomocą. Żona nie odezwała się ani razu, bo była zajęta. Wtedy przestaliśmy jeździć z nią na konferencje.

Pełnoetatowa, jednoosobowa opieka nad małym dzieckiem, czasem przez kilka dni z rzędu, może wykończyć. Wiele mam to wie. Pewnego dnia podczas karmienia zupką mały się zakrztusił. Zsinał, zaczął wymiotować – tak jak stałem, pobiegłem do przychodni. Na szczęście skończyło się tylko na strachu.

Mijały lata, a ja wciąż na etacie w domu. Wożenie na zajęcia, do przedszkola, na basen. Albo wyjazd na dwa tygodnie do Zakopanego czy do Ustki, aby zmienić małemu klimat, bo chorował. Przez półtora roku miał opiekunkę. Ja przez tych kilka

godzin dziennie mogłem pracować. Ale popołudnia i wieczory były dla syna. Po jednej pracy zabierałem się do drugiej, pisałem. A w małżeństwie było coraz gorzej. Bez przerwy rady nadzorcze, targi, spotkania. Do tego służbowe wyjazdy z klientami do Hiszpanii, do Francji, na karnawał do Wenecji albo z handlowcami na narty do Austrii lub skutery śnieżne na lodowcu na Islandii. Wypadów do firmy w Niemczech albo do SPA w Polsce nie liczę, bo to było „na chwilę koło domu”. Harmonogram terminów otrzymywałem mailem, jakbym był pracownikiem firmy. Gdy żona wracała już do domu, była zmęczona i musiała odespać, bo miała ciężki dzień, tydzień lub wyjazd.

Pewnego dnia po powrocie żony z delegacji zajrzałem do jej walizki. I znalazłem sex-bieliznę, którą sam jej kiedyś kupiłem. Odpowiedziała „mam romans”. Z podwładnym. Następnego dnia rano poprosiła, żebym zawiózł ją do psychiatry, u którego konsultowała się już wcześniej. Pojechaliśmy. Zdecydował, że żona ma zostać w szpitalu. Gdy po dwóch tygodniach z niego wyszła, zmieniła wersję wydarzeń: miała co prawda plan „skoku w bok”, ale go nie zrealizowała.

Odwiedzałem ją na oddziale, prosiłem, by zmieniła pracę, że możemy się przeprowadzić do innego miasta i zacząć wszystko od nowa. Jedyne, co osiągnąłem, to to, że zdecydowała się na psychoterapię. I tu zaczęła się spirala moich problemów. Zgodnie z zaleceniem psycholożki żona zaczęła wyzalać emocje. Podczas jednej z awantur z zaskoczenia dostałem, potem w moją stronę poleciało wszystko, co było pod ręką. Drugim zaleceniem było realizowanie pasji i wygospodarowanie czasu dla siebie. Zaczęły się wyjazdy na konie. Początkowo na kilka godzin. Później były kilkudniowe rajdy nad morzem albo w Hiszpanii. No i studia MBA, które zajmowały pozostałe weekendy.

Po rozpoczęciu terapii żona powiedziała, że potrzebuje czasu i musi się uporać ze swoimi problemami. Dlatego będzie dobrze, jak nie będę oczekiwał intymności. Nie oczekiwałem więc. Prawie trzy lata. Aż wreszcie zgrzeszyłem. Ale to nie był mój największy grzech.

Tę kobietę poznałem jeszcze jak syn chodził do przedszkola. Nasze dzieci były w jednej grupie. Potem chłopcy razem chodzili do szkoły. Jej partner, menedżer w dużej korporacji, uważał, że zajmowanie się dzieckiem jest niemęskie. A ona patrzyła, jak ja cierpliwie piąty raz zakładam kapeć, który konsekwentnie był zdejmowany z nogi. Przez dwa lata pomagaliśmy sobie w odbieraniu dzieci, robieniu zakupów, gotowaniu i właściwie wszystkim. Poznałem jej rodzinę i znajomych. Obsługa w KFC i w pizzerii była przekonana, że jesteśmy małżeństwem z dwójką dzieci. A my się zakochaliśmy i w końcu poszliśmy do łóżka.

Sielanka trwała krótko. Jej partner przeczytał nasze SMS-y i pobiegł na skargę do mojej żony. I wtedy się okazało, że gdybym się z nią tylko przespał, to byłoby do zaakceptowania. Ale ja się zakochałem. Ostatecznie jednak rozstaliśmy się. Oboje zostaliśmy w swoich związkach. Od tego momentu w moim życiu zaczęło się piekło. Wyzwiska, groźby albo zabieranie dziecka w Wigilię i wyjazd do znajomych. Raz dowiedziałem się, że mój syn jest u jakiejś pani, a żona na uczelni. Nie spodziewałem się jednak, że to dopiero początek. Któregoś dnia otrzymałem wezwanie do Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej, w związku ze wszczęciem procedury Niebieskiej Karty. Powiedziano mi tylko, że żona zgłosiła znęcanie się psychiczne. Byłem wezwany na rozmowę w obecności policji. To było posiedzenie komisji interdyscyplinarnej. Jak zwał, tak zwał, policjant z bronią siedział. Potem były wizyty pracownika socjalnego i dzielnicowego w domu. Zbieranie informacji wśród sąsiadów. Po trzech miesiącach postępowanie zamknięto z powodu braku dowodów. Dowodów czego? Nie wiem, bo jako podmiotowi nie przysługuje mi prawo do zapoznania się z zarzutem. Zresztą to nie był zarzut, jak poprawiano mnie wielokrotnie.

W sumie i pracownik socjalny i dzielnicowy okazali się w porządku. Prywatnie przyznali, że to ja jestem ofiarą przemocy (wyzwiska, rękoczynny), ale z tym nic nie mogą zrobić, bo nie ma dowodów. W tym samym czasie moja żona, już jako członek zarządu, udzieliła wywiadu jednej z gazet branżowych. Opisując swój sukces zawodowy i karierę, wspomniała, że bez pomocy męża by jej się to nie udało.

Niebieska Karta była tylko przygrzywką. Gdy wróciłem z synem z kilkudniowego wypadu do Rzymu, żona wsadziła dziecko do swojego samochodu, tłumacząc, że teraz ona jedzie na ferie i się spieszy. Gdy wszedłem do domu, okazało się, że ona już w nim nie mieszka. I nasz syn także. Znalazłem za to kartkę z wyznaczonymi przez żonę dniami widzeń z synem. A potem dostałem pozew rozwodowy. Żona z synem zamieszkała w apartamentowcu na strzeżonym osiedlu. Wygodne. W razie czego ochroniarze pozbędą się natręta.

Opisana do tego miejsca historia to moja wersja wydarzeń. Tę prawdziwszą poznałem z pozwu rozwodowego i z zeznań świadków. Okazało się, że pomimo stworzonych mi warunków leżałem przed telewizorem, a żony pieniądze wydawałem na własne przyjemności. Sam nie wiem, kiedy napisałem ponad setkę artykułów do kilku czołowych tygodników opinii i parę książek dokumentalnych. Ale katalog zarzutów, które składały się na doprowadzenie do rozpadu związku, był dłuższy. Jeden z psychologów, do którego chodziła moja żona, zeznał przed sądem, że jego pacjentka jest jedyną osobą kochającą to dziecko i jedyną, która się nim opiekuje. Nikogo nie obchodzi, że to ja nauczyłem Kacpra chodzić, jeździć na rowerze, pływać i stroić głupie miny. Że to ja go przewijałem, karmiłem, kąpałem i godzinami nosiłem na rękach, by zasnął. I biegałem po lekarzach. Nikogo nie obchodzi, gdzie wtedy była moja żona. Ona się poświęcała, pracując na utrzymanie rodziny. Nawet wtedy, gdy przez tydzień bawiła na nartach w Austrii lub w Islandii, bo to należy do jej obowiązków.

Z uwagi na zapowiadający się długi proces sąd przyznał żonie opiekę nad dzieckiem, a mnie zasądził alimenty. W sumie symboliczne, tylko 500 zł. Symboliczne dla mojej żony, zarabiającej niemal 20 tys. miesięcznie. Dla mnie jednak kwota alimentów była spora, bo wydawcy prasy nie zatrudniają dziennikarzy spoza Warszawy na etat. A wydawcy książek chętnie płacą symboliczne zaliczki. Resztę honorariów wypłacają z opóźnieniem roku czasem dwóch. Tymczasem w sądzie rejonowym, w którym żona złożyła pozew o rozdzielną majątkową, dowiedziałem się, że powinienem przewidzieć swoją sytuację i wcześniej zadbać o zgromadzenie środków finansowych na proces oraz że orzeczenie rozdzielnosci jest formalnością i będzie skutkowało żądaniem zapłaty połowy rat kredytu hipotecznego, który spłaca moja żona. Ja natomiast mogę sprzedać samochód, którego połowa zresztą też jest jej własnością. Czyli nie mam nic.

W sumie to nie jest źle, bo na razie mogę syna widywać regularnie. Przykro mi jednak, że w sytuacji gdy ja nadal mógłbym się nim zajmować, on spędza czas z wynajętą opiekunką. Bolało bardzo, gdy nie mogłem z nim być trzecią Wigilię z rzędu. Bo mi nie przysługuje widzenie w ten wyjątkowy dzień. Mimo to płacę te 500 zł. Zapłaciłem nawet podczas wakacji, gdy dziecko przez miesiąc było ze mną. Z tym wiązała się jednak i przykra niespodzianka. Na ten miesiąc wakacji syn przyszedł tak, jak stał. Gdy zapytałem o ubrania, żona napisała mi w mailu, że w końcu muszę poczuć odpowiedzialność bycia ojcem. No to poczułem. Kupiłem wszystkie ubrania.

Jeszcze nie jestem alimentciarzem, ale już w tym miesiącu, po wyroku sądu rejonowego będę miał u żony kilkadziesiąt tysięcy długu. Wtedy pojawi się komornik. I nie zapłacę tych symbolicznych 500 zł. A gdy wejdzie nowe prawo ministra Ziobry, wystarczą trzy miesiące, po których trafię do więzienia na rok. Moja żona na to czeka. Obiecała mi, że się zemści i pójdę siedzieć. To będzie zapłata za podjęcie się roli ojca w pełnym wymiarze. Dlatego z ogromnym zdziwieniem przeczytałem w „Wysokich Obcasach” tak jednostronny tekst o ojcach alimentarzach. Autorka chyba nie pomyślała, że wśród freelancerów piszących m.in. dla tej samej redakcji, jest przyszyły skazany za bezczelne uchylanie się od utrzymywania swojego syna.

<http://www.wysokieobcasy.pl/wysokie-obcasy/7,66725,21371643,w-kazdej-chwili-moge-stac-sie-alimenciarzem-to-bedzie-zaplata.html>